

Kilku mężczyzn schroniło się przed deszczem w skromnej kaplicy cmentarza świętego Pankracego. Był 22 stycznia 1975 roku – jeden z dobrze znanych posepnych londyńskich dni. Kaplica była pusta, a jej proste ławki oraz biały sufit i ściany nieco przypominały odpychającą salę lekcyjną. Za moment mężczyźni ruszą za karawanem na krótki spacer alejką do kwatery przy East Road, gdzie w nieoznaczonym grobie spocznie ciało zmarłego<sup>1</sup>.

Mężczyzna w średnim wieku, z rozczochraną brodą, przeszedł powłócząc nogami przez drewniane drzwi pod kamienną iglicą. Jego czerwony nos był bezpośrednim świadectwem wypitych wiader whisky, a w opuchniętych oczach rysowało się ogromne zmęczenie. Więzienie było jego drugim domem, nie posiadał żadnych środków do życia, a szczęście omijało go szerokim łukiem praktycznie od urodzenia. Duży palec wystawał mu z dziurawych tenisówek, prezentując w pełnej krasie dawno nieobcinany paznokieć całkowicie pokryty brudem. Życie nie uśmiechnęło się do Kopciucha. Jediną osobą, która kiedykolwiek prawdziwie o niego dbała, był George.

Razem z brodaczem do kaplicy weszło czterech innych bezdomnych mężczyzn, którzy będą towarzyszyć zmarłemu w jego ostatniej drodze. Opatuleni byli w swetry oraz szaliki znalezione na śmietnikach i w schroniskach – za małe, należące kiedyś do nieznanymi im osób, ale stanowiące niezastąpioną ochronę przed siarczystym mrozem. Niektórzy nosili paski i skarpety podarowane im uprzejmie przez George'a, a pozostali spodnie i płaszcze, na które hojnie rzucił groszem. Ten człowiek był prawdziwym świętym – wymruczał jeden z nich, powstrzymując łzy, kiedy przechodził obok kilku samotnych genetyków z Uniwersytetu Londyńskiego, siedzących w krępującej ciszy. Wyraźny odór moczu niósł się za tą ekipą żuli, kiedy przemieszczali się w kierunku ołtarza kaplicy, gdzie stała trumna. W świątyni znajdowało się w sumie dziesięć, może jedenaście osób. Było to ponure zakończenie równie ponurej sprawy<sup>2</sup>.

A tam, z przodu kaplicy, stało dwóch najwybitniejszych na świecie biologów ewolucyjnych, genialnych mężczyzn i cichych rywali. „George traktował swoje chrześcijaństwo zbyt poważnie” – powiedział pan Apps, który ze względu na brak jakichkolwiek członków rodziny zmarłego, przewodniczył ceremonii w imieniu domu pogrzebowego Garstin. „To trochę tak, jak święty Paweł” – szepnął pod nosem Bill Hamilton, ale na tyle głośno, że John Maynard Smith musiał przygryźć wargę. Po czym zapadła cisza. George Price przybył z Ameryki, aby rozwiązać problem altruizmu i odkrył coś potwornego. Teraz już nie żył, samemu sprowadzając na siebie zagładę<sup>3</sup>.

\* \* \*

Od zarania dziejów ludzkość rozważała zagadnienie moralności. Wszystko rozpoczęło się od pewnego wielkiego oszustwa: „[...] otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło” – tymi słowami wąż kusi Ewę w Rajskim Ogrodzie, namawiając ją do zjedzenia zakazanego owocu. Ale podczas gdy osąd zastąpił niewinność przy pomocy przebiegłości, nie trzeba było długo czekać, zanim pojawiły się trudne pytania. Niebawem Kain rzucił się na swojego brata Abla, zabijając go, aby dać upust własnej zazdrości. Kiedy Pan zapytał Kaina, czy wie, gdzie znajduje się Abel, ten odpowiedział: „Czyż jestem stróżem mojego brata?” To pytanie będzie odbijać się echem na wszystkich ścieżkach historii, stając się niepokojącym towarzyszem ludzkości.

Potem pojawił się Darwin.

Osoby pobożne wierzyły, że moralność została nadana z góry szóstego dnia tygodnia stworzenia, podczas gdy religijni sceptycy uważali, że narodziła się wraz z powstaniem filozofii. Teraz oba te podejścia musiały na nowo zmierzyć się ze swoją chronologią. „Ten, kto zrozumie pawiana – napisał w swoim

notatniku ojciec ewolucji, zapowiadając mający nadejść sposób myślenia – uczyni więcej dla metafizyki niż Locke”.

Brzmiało to jak przyznanie się do morderstwa. Jeśli wierzyć słowom, które pod koniec XVIII wieku napisał szkocki geolog James Hutton, jakoby Ziemia była tak stara, że „nie znajdujemy śladów jej początku – ani też perspektywy jej końca”; jeśli, zgodnie z tym, co twierdził sam Darwin, życie na Ziemi ewoluowało stopniowo przez eony, a proces ten zupełnie nie przypominał drabiny, lecz przyjmował postać drzewa; jeśli, tak samo jak w przypadku mięśni i piór oraz pazurów i ogonów, zachowanie i umysł zostały ukształtowane przez dobór naturalny – jeśli to wszystko było prawdą, byłoby nie do pomyślenia nadal uważać, że ta charakterystyczna dla człowieka cecha jest zupełnie wyjątkowa. Niezależnie od tego, czy życie zostało „początkowo tchnięte [...] w kilka form bądź tylko w jedną” przez Stwórcę, jak sugerował Darwin, czyniąc ukłon w stronę ogólnie panującego przekonania w drugim wydaniu swojego dzieła *O powstawaniu gatunków* po tym, jak pominął je w pierwszym, moralność nie była w najmniejszym stopniu ludzkim wynalazkiem. Dużo starsza niż Biblia, a nawet wcześniejsza niż filozofia, moralność była w rzeczywistości starsza od Adama i Ewy.

